



Na tej stronie: Prezent ślubny od taty – odziedziczona po praprababcicach ręcznie pisana książka kucharska z XIX wieku. Cenna ale niepraktyczna, te przepisy wymagają tygodni i kilkunastu rąk do pracy. Koszula Horror Vacui. Na stronie obok: Sukienka Mara Hoffman, wymarzone grafiki Oli Niepsuj – prezent od artystki.

Lubi rzeczy, których kupić nie można. Zbiera je, chucha na nie i dmucha. Projektantka torebek ZOFIA CHYLAK to pełna szacunku do historii sentymentalistka.

Na nasze spotkanie ubrała się na względny luzie. W szerokie dżinasy i T-shirt – rzeczy, których kupować nie znosi i zawsze ma w deficycie. Na wierzach narzuciła przydużą marynarkę z jedwabnymi wylogami i guzikami obciążonymi tkaniną. To połowa garnituru Totême, jednego z jej ulubionych klasyków. Kiedy przed laty przeczytała wywiad z Yohjim Yamamoto, zakodowała sobie, że ubranie jest rodzajem zbroi. Uzbrojona w garnitur lubi pójść na ważne spotkanie – dodaje jej pewności. W sytuacjach towarzyskich, z natury nieśmiała, chętniej ukrywa się za sukienkami. Zwykle to oversize'owe romantyczne modele od Cecilie Bahnsen, Mary Hoffman i Simone Rocha. – Wyglądają jak obłóczki – najpierw idzie chmurka, potem ja, schowana – tłumaczy. Jak mówi, uwielbia „rzeczy totalne”, zakochuje się w ubraniach spektakularnych. Przyciągają ją objętość, niesamowity krój,

wyjątkowa tkanina. Nosi niemal wyłącznie czerń – to rodzinne. Ostatnio odkryła, że ma greckie korzenie, to właśnie w strojach starych, eleganckich Greczynek powijanych w ciemne sukienki dopatruje się przyczyny tego upodobania. Żeby nie było nudy, stawia na faktury. Od gładkiej skóry woli tłoczone krokodyle, od jednorodnej tkaniny – żakard. Szewe bez butów chodzi, torebkę więc w kółko nosi tę samą – przewieszoną przez ramię Mini Belt Bag sprzed sześciu kolekcji.

tekst
KAMILA
WAGNER

zdjęcia
GOSIA
TURCZYŃSKA

97

SŁABOSTKI
I SENTYMENTA



Wszystkie kamienie w domu to oryginalne polskie marmury z początku XX wieku, złoży się wyczerpały, więc to unikat. Rzeźba australijskiej artystki współczesnej Carol Crawford lekko się z nimi zlewa. Biżuterię i pudełka Zofia kolekcjonuje od lat. Stare pierścionki trzyma w obitych welurem pudełkach z antykwariatów i w kamiennych etui. Nowej biżuterii ma niewiele – koleżki z ostatniej kolekcji Phoebe Philo dla Celine, granatowe od Simone Rochy, nie do pary od Timeless Pearly. Wisiołek to oprawiony na zamówienie kamień z rodzinnym herbem. Kiedyś był oczkiem męskiego sygnetu.



Ma opinię minimalistki, ale to pewnie nieporozumienie. Zawdzięcza ją chyba wyłącznie niechęci do koloru. Choć jej szafa jest zdecydowanie czarna, przerywają ją plamy mocnych barw. To jej patent na efekt wow! – raz na jakiś czas wystąpić w czymś jaskrawym, np. sukience we wściekłym różu. Prosty, funkcjonalny rzeczy po prostu nie lubi, większość jej ubrań to te na wielkie wyjścia. Tych ostatnio brakuje, nierzadko więc odszykowana w romantyczne ubrania od projektantów Zofia chodzi po domu – centrum dowodzenia, z którego wychowuje roczną córkę i zarządza firmą o globalnym zasięgu. Może to niezbyt praktyczne, ale do wnętrza jej mieszkania pasuje jak ulał. Półtora roku temu przeniosła się tutaj z sąsiedniej ulicy. Na Saskiej Kępie udało się znaleźć prawdziwą rzadkość – zachowane oryginalne

wnętrze. Mieszka na parterze budynku, który dla rodziny w latach 30. zbudował jeden z warszawskich architektów. Niemal wszystko jest tu jak dawniej – stolarka, mosiężne klamki i karnisze, parkiety, polskie marmury na ścianach i kominku, szklane półki, oranżeria, w której ekscentryczny autor projektu w międzywojniu hodował palmy i rośliny egzotyczne. Dziś znów tu są, dodatkowo oranżeria służy za letni pokój rocznej Cecylki. Niewiele było tu do zrobienia, wystarczyło nie zepsuć. Mieszkanie Zofia wypełniła więc klasykami designu i elementami robionymi na zamówienie – lampa w salonie powstała z inspiracji projektami Adolfa Loosa z początku wieku, a szafa w sypialni została pokryta fornirem dobranym do tego z oryginalnych drzwi. Ściany – wysokie na cztery metry – zdobią grafiki i małe dzieła sztuki.

O przedmiotach Zofia mówi prawie jak o ludziach. Nie opisuje ich kształtów i kolorów, a raczej charakter, wspomnienia i emocje, które z daną rzeczą ją łączą. Stara się, żeby to, co ma wokół, było specjalne i miało historię, najlepiej rodzinną – jest szalenie sentymalna. Prawie wszystko jest tu odziedziczone, sprezentowane albo wyszukane na aukcjach. W takim otoczeniu chce wychować córkę. Chodzi nie tylko o estetykę, ale atmosferę domu. Sama wyrosła w otoczeniu rodzinnych pamiątek. Po latach zrozumiała, że już w dzieciństwie zaszczerpiono w niej głęboki szacunek do rzeczy – może być ich niewiele, ale byle jakie być nie mogą. Tej zasady trzyma się i w pracy, i w prywatnym życiu.

Wychowywała się w Warszawie na zielonym Marymoncie w domu, który zaprojektował jej ojciec – architekt urbanista. Tuż obok na Żoliborzu mieszkała reszta rodziny, kuzyni i dziadkowie. Wszyscy byli bardzo blisko, mieli kreatywne zawody i nieregularny grafik, dzięki temu praca we własnej firmie i balansowanie między życiem prywatnym a służbowym przychodzi jej z lekkością. Ojciec zaprojektował dom tak, żeby pracownię mieć pod ręką,

o najdziwniejszych porach wpadał więc na kawę. Mama zrezygnowała ze stałej dziennikarskiej pracy, żeby zająć się córką i trochę zmienić zawodowy profil. W domu pisała na maszynie scenariusze, córkę ciągała ze sobą na fascynujące próby do teatru. Mocno ukształtowali ją też dziadkowie. Jeden z nich, Gwidon Miklaszewski, wzięty rysownik dla codziennych gazet, pokazywał wnukom swoje prace – lekkie, zabawne, pełne ubraniowych detali rysunki. Godzinami wertował ściągane z trudem z zagranicy albumy o sztuce i obrazkowe książki znanych artystów, w tym Mitsumasy Anno, japońskiego rysownika, którego Zofia do dziś uwielbia. Gdy pokazuje je mężowi, Adamowi Widmańskiemu, ten śmieje się, że była jedynym dzieckiem w Polsce, które miało tak imponujący księgozbiór. Dziś wie, że to estetycznie ją ukształtowało, z niedowierzaniem wspomina dziecięcą tęsknotę za tandetą, plastiką i różem, a odziedziczone albumy wkrótce pokaże córce. Wśród nich, kryją się wybebeszone „Dzieła Stalina”, w których w stanie wojennym rodzina ukrywała bibułę.

W domu panował luz (ze szkoły można było przynieść dwóje), ale i kult indywidualizmu. Lekka presja, żeby w czymś być wyjątkowym. Brat Zofii, starszy o 12 lat, już w dzieciństwie związał się ze sztuką, dziś jest malarzem (jego *Lawina* wisi w sypialni nad łóżkiem) i wykłada w Akademii Sztuk Pięknych. Ona musiała trochę poszukać. Przez lata ćwiczyła grę na fortepianie i śpiewała w chórze Opery Narodowej, potem ciągnęło ją do kina, chciała zostać operatorem filmowym. Nie udało się, poszła więc na historię sztuki, co jej, wychowanej na książkach i w muzeach wydawało się zupełnie naturalne – ojciec uznawał plaże za nieinteresujące, wakacje od dziecka oznaczały więc pogonę po galeriach i cudach architektury. Na studiach skreśliła w stronę mody, którą lubiła od zawsze. Potem założyła firmę, bez wahania, bo wychowano ją w przekonaniu, że kobietom wolno wszystko. Najpierw jej marka oferowała usługi szycia na miarę, >

Na stronie obok: Sukienka Cecilie Bahnsen, baleriny Repetto. Owce to reaktywacja projektu Hannsa-Petera Kraffta z 1982 roku, meble w salonie – włoski vintage. Na marmurowych półkach wyeksponowano książki o sztuce, szkło, ceramikę i małe rzeźby.

Modernistyczny budynek ma charakter

styczną bryłę z przeszkleniem z luksferów i wielką pergolą. Przez okna oranżerii widać bujny ogród.



do czego też poniekąd przygotowało ją dzieciństwo. U krawca po raz pierwszy była jako dwunastolatka i choć bardziej niż o zgrzebnej, dobrze skrojonej sukience marzyła wtedy o różowym dresie, po latach doceniła wysokie krawiectwo. Wychowano ją w przekonaniu, że ubrania nie mogą być tanie i mają służyć przez lata. Gdy do Polski wchodziły sieciówki, mama mówiła jej – tam na zakupy nie idziemy – i robiła długie wykłady o jakości. Choć był moment, że ciągnęło ją do masówki, wagę jakości Zofia pojęła już jako kilkulatka – babcia ze strony mamy miała w szafie dosłownie pięć sukienek, za to uszytych przez cudem wyszukaną w trudnych czasach paryską krawcową panią Marcoin. Tyle wystarczyło. Babcia pozostaje najelegantszą kobietą, jaką Zofia kiedykolwiek знаła.

Szycie na miarę i cały ten teatr przymiarek nie mieściły się w jej charakterze. Nie była typem ekstrawertycznej projektantki, która z komplementami na ustach wiruje z centymetrem wokół klientek. W odnalezieniu własnej drogi pomógł jej mąż (wtedy jeszcze przyszły), który w chwili rozterki kazał jej usiąść z kartką i odpowiedzieć sobie na kilka pytań. Ze skrupulatnej analizy wyszło, że najlepiej będzie zabrać się za torebki. Na polskim rynku nie miała konkurencji, a zagraniczne projekty były nie-

dostępne cenowo. Zofia od początku stała na sprzedaż online – miała globalne ambicje, ale nie fantazjowała o sieci stacjonarnych butików na całym świecie. Jeden, na Koszykowej, który dzieli z przyjaciółką Zużą Kuczyńską, zupełnie jej wystarczy. Ten internetowy „zbudował” Adam – projektant stron internetowych, który współtworzy z Zofią markę od początku, ale po cichu. Ona też się szczególnie nie afiszuje, gdy uśmiecha się do dziewczyn z torebkami Chylak na ulicy, to nawet jej nie poznają. Schowała się za własnymi projektami i to jej pasuje.

Do najcenniejszych rzeczy zalicza te odziedziczone. Torebkę po jednej babci dostała od mamy na 30. urodziny. Ma również haftowany portfel po drugiej babci, książkę kucharską z dopisanymi przepisami, pierścionek zaręczynowy po babci męża – cała rodzina wie, że najbardziej lubi rodowe precjoza, więc jej dostają się najpiękniejsze skarby. Słabość do błyskotek ma od zawsze, jako kilkulatka wykradała rodową biżuterię na zieloną szkołę – na to wspomnienie rumieni się do dziś, trafiło na długą listę grzechów (ponad 30 pozycji), którą spisana zabrała na pierwszą spowiedź. Kartka się zachowała, dziś w jej rodzinnym domu bawi się nią gości. Dziś ma niewinne słabości, czasem kupuje torebki vintage. W modelach z przeszłości szuka ciekawych detali, które można przetworzyć. W poprzednich kolekcjach ma formy, które pamięta z szaf babć i ciotek. Do najnowszej trafiły modele o kształcie elipsy. Tu inspiracja przyszła przypadkiem – stylistka przyniosła na sesję biżuterię spakowaną w stare zaokrąglone etui. Przedmiot stał się punktem wyjścia do nowego sezonu.

Zofia bardzo chętnie kupuje ubrania, ale ma dużo przemyśleń na temat mody jako zatruwacza planety. Wybiera więc „te piękne i dobre”. Ma nadzieję, że kiedyś przekazuje je córce, do własnej mamy miewa pretensje, że pozbyła się przepięknych sukienek, jak ta w wielbłądy projektu Barbary Hoff, którą zna ze zdjęć. Równie ważny jak fason jest dla niej concept, który stoi

za marką, idea i sposób produkcji. Sama od lat szuka sposobów na zrównoważony rozwój własnej marki – testuje dziesiątki alternatyw dla skór naturalnych i marzy o tym, żeby kiedyś, bez utraty jakości, produkować wyłącznie z tworzyw wegańskich. Lubi vintage, ale wyselekcjonowany, do lumpeksów nie ma ręki, choć w takim z XIX wieku chętnie zrobiłaby zakupy. Za dzieciaka bywała z tatą na targu staroci na Kole. Kocha antykwariaty, najchętniej odwiedza te poza Warszawą, w stronach, z których pochodzą jej przodkowie. Zawsze ma nadzieję, że znajdzie coś, co należało do kogoś bliskiego. Oprócz zaginionych pamiątek szuka tam biżuterii, tej nigdy dość. Nie wyklucza, że kiedyś sama będzie ją projektować, na razie pochłania ją wyjadanie tej z przeszłości.●

Na tej stronie: Sukienka ukraińskiej projektantki Vity Kin nawiązuje do lemkowski korzeni Zofii. Baleriny to kupiony dawno temu model Repetto. *Na stronie obok:* Sukienka Cecilie Bahnsen. Buty kupuje na lata. Wybiera klasyczne albo takie, które nawiązują do polskiego folkloru np. à la zakopiańskie kozaki od Chanel. Jedną z jej licznych słabości to zwierzęce wzory – w tłoczeniach i nadrukach.



Szafa zajmuje całą ścianę sypialni, jest nowa, ale pokryta stylizowanym fornirem wygląda jakby była tu od zawsze. Podobnie jak sukienki, pozornie zupełnie niedzisiejsze.

